GŁOS NARODU

ZABÓJSTWO CAREWICZA IWANA

16-go lipca 1764 roku.

Piotr W. pierwszy zaczął łamać wszystko, co było starego w moskiewskiem państwie. Przeciw ciężkiemu, nieruchomemu bizantynizmowi postawił traktyerne zwyczaje, nudny pałac carski zmienił się na karczmę, w której od cara do ostatniego lokaja wszyscy pili i hulali, oddając się śmiało rozpuście, bo car jej przewodniczył; zamiast prawnego następstwa tronu Piotr objawił, że imperator może naznaczyć następcą tronu tego, kogo zechce. Potem, będąc w niewoli tureckiej, pisał do senatu, żeby senat sam wybrał najgodniejszego, a nakoniec odebrawszy koronę własnemu synowi, dał ją pokojówce, która, przechodząc z rąk do rąk, dostała się jemu. Piotr zniósł urząd patryarchy, zabronił relikwiom czynić cuda i otarł do sucha łzy, cieknące z oczu cudownych obrazów. W ziemi kastowych przesądów posadził wyżej od wszysktich plebeusza Mieńszczykowa; ciągle bawił się i przyjaźnił z cudzoziemcami, nawet z murzynami; jednem słowem obrażał na każdym kroku wszystkie strony przeszłego życia moskiewskiego i carskiego formalizmu.

Piotr nadał ton, następcy kontynuowali grę. Pół wieku po nim ciągnie się nieustanna orgia wina, krwi i rozpusty.

W te zakulisowe strony życia caratu wprowadzimy naszych Czytelników, nie obeznanych z moskiewską historyą.

24-go listopada 1740 roku, Elżbieta, córka Piotra I., namówiwszy ośmiu grenadyerów przeobrażeńskiego pułku, wpadła w nocy do pałacu rejentki Anny Leopoldówny, aresztowała ją wraz z mężem i małoletnim carem Iwanem, i odesłała do Rygi. Po półtora-rocznem więzieniu w fortecy, w której im odmawiano najpotrzebniejszych rzeczy do życia, przyszła wiadomość, że będą wysłani do Niemiec. Promień nadziei lepszej przyszłości zabłysnął dla nieszczęśliwej rodziny, która zaczęła gotować się do wyjazdu; lecz Elżbieta naznaczała im inną przyszłość. Z rygskiej fortecy przeniesiono ich do Dünamünde. Przy przejeździe urzędnicy, zajmujący się wypełnieniem rozkazu, rozkradli większą część ich rzeczy. Wkrótce potem przyszedł nowy rozkaz przewieźć ich do Ranienburga, w Riazańskiej gubernii, a ztamtąd do Chołmogor, małej mieściny, leżącej na wysepce Dźwiny północnej, o 72 werstw od Archangielska. Syna zaś ich Iwana kazano zostawić w Ranienburgu.

Los tego dziecka był bardzo tragiczny. Po odjeździe rodziców jakiś mnich przedsięwziął uciec z nim za granicę, i już dotarł do Smoleńska, lecz ich tu schwytano. Mnich gdzieś zniknął, i nikt nie wie, co się z nim stało, a Iwana zamknięto do szlisselburskiej fortecy.

Nie wielkie okna jego pokoju były ciągle zamknięte tak, że nigdy światło słoneczne nie przenikało do więzienia; świece paliły się nieustannie. Z zewnętrznej strony więzienia stała warta. Nie mając zegarka carewicz nie mógł wiedzieć, czy dzień, czy noc na dworze. Nie miał on żadnego wychowania, nawet czytać i pisać go nie nauczono. Odosobnienie zrobiło go milczącym, zamyślonym; ciało stało się nadzwyczajnie delikatne, bo więzień nie wychodził nigdy na powietrze; brodę miał długą, z którą się bardzo lubił bawić. Raz tylko Iwan widział słońce, gdy z rozkazu Elżbiety przywieziono go w zakrytej karecie do Petersburga, do kanclerza Worońcowa, gdzie carowa spotkała się z nim i mówiła dość długo; lecz Iwan nie wiedział, z kim ma do czynienia.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu" z dnia 3 Maja 1903 r.

W r. 1762, to jest, gdy miał lat 22, Piotr III chciał go obaczyć, i dlatego z baronem Korfem i kilku dworzanami udał się do Szlisselburga. Car ubrany w odzienie prostego oficera, wszedł do więzienia Iwaną. Korf pisze w pamiętnikach swoich, że mieszkanie było czyste, lecz meble nadzwyczajnie proste, odzienie na Iwanie było ubogie, lecz czyste, bo więzień bardzo lubił porządek. Na zapytanie Piotra, kto on taki, więzień odpowiedział: „car Iwan". — To nieprawda — zauważył Piotr — tyś to wyobraził tylko sobie. — „Nie — odpowiedział Iwan — ja o tem wiem od rodziców moich i od strzegących mnie ludzi". Piotr zapytał go jeszcze, co on pamięta o rodzicach swoich? Iwan upewniał, że jeszcze ich pamięta, lecz z żalem skarżył się na carową Elżbietę, że się źle obchodziła z rodzicami jego. Odjeżdżając Piotr kazał wybudować mały domek w fortecy dla nieszczęśliwego Iwana, i dać mu lepsze utrzymanie.

Gdy Katarzyna II, zamordowawszy męża, wstąpiła na tron, Iwana tajemnie posłano do Koksholmu w ołonieckiej gubernji, gdzie go trzymano około miesiąca. Caryca chciała go obaczyć. Nie wiadomo, gdzie było to spotkanie i co mówili między sobą. Caryca kazała go odwieźć nazad do Szlisselburgu, umieścić w kazamacie i, zmieniwszy ludzi znajdujących się na straży, naznaczyła innych, dawszy im sekretne instrukcje. Nowo naznaczeni byli: kapitan Własiew i porucznik Czekin.

Imię Iwana już nieraz było używane w mniejszych ludowych lub wojennych ruchach w początku panowania Katarzyny II; lecz zdaje się, że nikt nie myślał na seryo o nim, a tem mniej o użyciu imienia jego lub osoby za chorągiew powstania. Lecz moskiewska Lady Makbet lękała się więźnia i zapewne nie bez przyczyny; tegocześni pisarze sądzą, że tragiczny koniec tego nieszczęśliwego carewicza był przez nią przygotowany.

Bazyli Mirowicz, podporucznik smoleńskiego pułku, rodem z Ukrainy, zrujnowany i zniszczony sekwestracją dóbr dziada za to, że działał razem z Mazepą, nie otrzymawszy (jak mówi akt oskarżenia), żadnej odpowiedzi na prośbę o zwrot swych majątków, postanowił wynieść się za pomocą czynu, który mu wydał się bardzo łatwym, i który w samej rzeczy nie był trudnym. Mirowicz przedsięwziął zamkniętego Iwana posadzić na tron moskiewski, którym wtedy rozporządzały szajki pijanych żołnierzy. Za pomocnika wybrał sobie kolegę porucznika Uszakowa, który służył w wielkołuckim piechotnym pułku. Obydwaj w cerkwi kazańskiej Matki Boskiej poprzysięgli projekt ten przyprowadzić do skutku. Lecz wkrótce Uszakow, posłany do Smoleńska ze skarbowymi pieniędzmi, utonął w drodze, Mirowicz został sam jeden.

Gdy przyszła na Mirowicza kolej stanowcza wstąpienia do szlisselburskiej fortecy na zajęcie straży, przechadzając się po wałach dowiedział się o miejscu, w którem zamknięty był Iwan, i do wypełnienia za dni kilka przedsięwzięcia oznaczył to miejsce znakiem.

Było to w 1764 roku, wtedy, gdy caryca pojechała odwiedzić Liflandję. Mirowicz przygotował w imieniu carycy manifest, którym miał nadzieję przekonać komendanta i żołnierzy, znajdujących się pod jego dowództwem. W nocy z 15 na 16 lipca odkrył plan swój przed trzema podoficerami i trzema żołnierzami, i namówił ich przyjąć w nim udział.

O godzinie 2-giej po północy Mirowicz obudził całą komendę, kazał jej stanąć pod broń i nabić strzelby. Komendant Bieredników słysząc ruch zerwał się z łóżka, i wyszedłszy z mieszkania zapytał Mirowicza, co zamyśla robić. Mirowicz podał mu manifest carycy, w którym było powiedziano, że Katarzyna II. postanowiła złożyć carską koronę i włożyć na głowę Iwana, jedynego prawego następcy moskiewskiego tronu, i rozkazuje komendantowi wypuścić go natychmiast na wolność. Komendant nie dał wiary manifestowi i chciał go aresztować, lecz Mirowicz tak go uderzył kolbą w głowę, że komendant upadł. Potem z oddziałem swoim rzucił się na straż stojącą koło mieszkania Iwana.

Oficerowie będący na warcie dowiedziawszy się o co chodzi, kazali strzelać do żołnierzy Mirowicza, lecz strzały te z powodu gęstej mgły nikomu nie szkodziły. Wspólnicy Mirowicza spotkawszy niespodziewany opór żądali, żeby przeczytano jeszcze raz rozkaz, na podstawie którego im bić się kazano. Mirowicz przeczytał manifest, obiecał im nagrodę, jeżeli oswobodzą cara, i nastraszył karą, jeżeli go opuszczą, wtedy to żołnierze ściągnęli działo z bastionu i skierowali je na palisadę, zamykającą wchód do kazamaty w której znajdował się Iwan.

Kapitan Własiew i porucznik Czekin, nie spodziewając się wytrzymać ataku, oznajmili Mirowiczowi, że mają rozkaz zabić więźnia, jeżeli nie będzie w stanie oprzeć się tym, którzy zechcą go oswobodzić. Nie odpowiadając na ich słowa Mirowicz kazał spiesznie wyłamać drzwi. Wtedy to Własiew i Czekin wbiegli do pokoju śpiącego carewicza, i pierwszy z nich zbliżywszy się do łóżka z całej siły uderzył go szablą w głowę. Uderzenie to jednak nie było śmiertelne. Iwan wyskoczył z łóżka i rzucił się na zbójców z taką energią i zaciętością, że wyrwał szablę Własiewa i połamał ją na kawałki; ale wśród walki z nim Czekin zaszedł mu z tyłu, i siedm razy utopił szpadę swoją w piersiach nieszczęśliwego. Potem obydwaj wzięli zbroczonego krwią trupa Iwana, i wyniósłszy go na podwórze, rzucili pod stopy Mirowicza, mówiąc:

— Oto wasz car, postawcie go na czele waszej armji, zapewnie doskonale będzie panować na rosyjskim tronie.

Mirowicz podjął trupa Iwana, zaniósł go przed swój oddział, pokrył chorągwią, i ukląkłszy przed nim, ucałował rękę.

Następnie zdjąwszy z siebie znak oficerski, szarfę i szablę odpiąwszy, położył je około trupa, i zwracając się do Korsakowa, dowódzcy smoleń-

skiego pułku, który dowiedziawszy się o tem co zaszło przybył do fortecy i powiedział:

— Car mój i pan zabity; teraz możecie ze mną robić co chcecie. Los nie dozwolił mi dopiąć mego celu. Ja się nie skarżę na dolę moją, lecz serdecznie żałuję wspólników moich, których wciągnąłem i nieszczęśliwą ofiarę mego przedsięwzięcia.

Potem ucałował podoficerów i żołnierzy i oddalił się.

Ciało nieszczęśliwego Iwana, okropnie pokaleczone, wystawiono na widok publiczny, żeby ludność mogła przekonać się o rzeczywistej śmierci.

Następnie poczęto sądzić Mirowicza. Proces prowadzono z nadzwyczajną srogością, gdyż nikt nie chciał wierzyć, żeby jedna osoba była w stanie odważyć się na podobne przedsięwzięcie. Wszystkie jednak starania dla wykrycia wspólników były napróżne; Mirowicz nie wskazał nikogo. Nadzieje Katarzyny II., że uda się jej wmięszać w tę sprawę księżnę Daszkową, której niecierpiała i pozbyć się chciała, spełzły na niczem.

W czasie sądu Mirowicz zachowywał się z nadzwyczajną godnością. Niektórzy z sędziów, moc duszy przypisując zatwardziałości serca, wyrzucali mu to.

— Ja uważam siebie — odpowiadał Mirowicz — za nienależącego do tego świata; wiem, że będę skazany na śmierć haniebną, i jestem gotów przenieść ją za wystepek, który popełniłem, żałując serdecznie żołnierzy, których namówiłem do tego przedsięwzięcia. Wspólników innych nie miałem, i sądzę, że sędziowie moi nie zechcą, abym mięszał w tę sprawę zupełnie niewinnych ludzi. Czyżbyś chciał panie prokuratorze — dodał — żebym ciebie obwinił o spólnictwo!

Sąd skazał Mirowicza na ćwiartowanie, Katarzyna zamieniła karę na ścięcie głowy, 28-go września zginął Mirowicz tak mężnie, jak się zachował w ciągu całego procesu. Spólnicy jego — żołnierze skazani zostali na przechodzenie pod pałki po 10 i 12 razy przez 1000 ludzi, a potem na zesłanie do ciężkich robót.

W czasie procesu Mirowicza mówiono z cicha, że cała ta sprawa była komedją Katarzyny, która zamieniła się na dramat dla Mirowicza. Opowiadano, że Mirowicz był wzywany do hetmana Razumowskiego, który w imieniu carycy obiecał mu zwrot majątku w Małorosji, jeżeli podejmie się zrobić małe powstanie na korzyść nieszczęśliwego Iwana, i da tym sposobem możność pozbawienia go życia. Mówiono, że Mirowicz dlatego był tak mężnym, że do ostatniej chwili oczekiwał obiecanego ułaskawienia.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSKIEJ.

(Dokończenie).

— Ważna to kwestja — odparł. — Zastanawiałem się nad nią i doszedłem do przekonania, że Stapleton miał wspólnika. W Merripit-House był stary lokaj, Antoni. Wiem, że pozostawał u niego w służbie conajmniej lat kilka, bo widziano go za czasów, gdy Stapleton był kierownikiem szkoły w Yorkshire. Ten człowiek musiał wiedzieć, że Beryl jest żoną, nie siostrą jego pana. Po zamachu na sir Heryka, Antoni zniknął bez śladu.

Otóż to imię, rzadkie w Anglji, jest bardzo pospolite w Hiszpanji i w Ameryce hiszpańskiej. Ów służący, również jak i pani Stapleton, mówił po angielsku płynnie, lecz z akcentem miękkim, południowym. Widziałem sam Antoniego, idącego do Grimpen-Mire ścieżką, wytkniętą przez Stapletona. Zapewne ten, podczas jego nieobecności, żywił psa, choć zapewne nie wiedział, do jakiego celu jest przeznaczony.

Teraz słówko o mojej działalności w czasie, gdyś przebywał z sir Henrykiem w Baskervile-Hall. Pamiętasz może, jak oglądając papier, na którym były przyklejone słowa wycięte z *Timesa*, badałem znak wodny; trzymałem wtedy papier przy oczach. Otóż zaleciała mnie subtelna woń białego jaśminu.

Jest siedmdziesiąt pięć gatunków perfum, które każdy dedektyw powinien rozróżniać; wiele wypadków zależy od szybkiego poznawania perfum. Jaśmin naprowadził mnie na domysł, że list został przesłany przez kobietę. Już wtedy moje podejrzenia zwróciły się ku Stapletonom.

Wiedziałem więc o istnieniu psa i o miejscu zamieszkania mordercy, zanim wyruszyliście do Devonshire.

Postanowiłem śledzić Stapletona. Oczywiście nie mógłbym tego dokonać, przebywając z wami, albowiem łotr miałby się na baczności. Zwiodłem wszystkich, nie wyłączając ciebie, i zjawiłem się potajemnie wówczas, gdy sądziliście wszyscy, że bawię w Londynie.

Ukrywałem się przeważnie w Coombe-Tracey, chroniąc się w jaskini na moczarach tylko wtedy, gdy moja obecność na polu działania była niezbędną. Cartwright w przebraniu chłopca wiejskiego, oddawał mi znaczne usługi. Dostarczał mi pożywienia i czystej bielizny. Podczas gdym ja śledził Stapletona, on śledził ciebie, tak, że wiedziałem o każdym twoim kroku.

Mówiłem ci już, że twoje raporty dochodziły mnie szybko; odsyłano mi je natychmiast z Baker-Street do Coombe-Tracey. Przydały mi się bardzo, zwłaszcza biografja Stapletona. Pomogła mi ona wykryć jego tożsamość i stosunek do pięknej towarzyszki.

Sprawa powikłała się przez ucieczkę więźnia Seldona i jego porozumienie się z Barrymorami. I tę zawiłość rozplątałeś, choć i ja doszedłem do tego samego wyniku, na mocy własnych spostrzeżeń.

W chwili, gdyś mnie odnalazł na moczarach, miałem już w ręku wszystkie nici spisku, lecz nie posiadałem materjału dowodowego, z którym mógłbym stanąć przed sądem.

Nawet zamach na sir Henryka, który skończył się śmiercią Seldona, nieszczęsnego więźnia, nie mógł nam pomódz do wykazania zbrodniczości Stapletona.

Nie było innej rady, jak go schwytać na gorącym uczynku, a w tym celu musiałem użyć sir Henryka, z narażeniem jego nerwów. Przyznaję, że moja w tem wina: trzeba było poprowadzić sprawę inaczej i oszczędzić naszemu klientowi tej przykrości, ale nie mogłem przewidzieć, że ten łotr posmaruje psa siarką i że owej nocy będzie mgła, dzięki czemu sir Henryk nie mógł widzieć z oddali czworonożnego sprzymierzeńca Stapletona, który wyskoczył znienacka i przestraszył tego odważnego człowieka. Zresztą doktór Mortimer i wezwani specjaliści upewniają, że nasz przyjaciel powróci niebawem do równowagi i że odzyska spokój ducha, zachwiany nietylko tym wypadkiem, lecz i sercowym zawodem.

Pozostaje mi już tylko zaznaczyć rolę pani Stapleton. Mąż wywierał na nią wpływ demoniczny; niewiadomo, czy go bardziej kochała, czy też się bała. Bądź co bądź, słuchała go niewolniczo, stawiając mu opór wtedy tylko, gdy chciał ją zmusić do wspólnictwa w zbrodni. Pragnęła ostrzedz sir Henryka, bez narażenia męża; próbowała kilkakrotnie, lecz bezskutecznie.

Stapleton był zdolny do zazdrości: widząc, że baronet zaleca się do jego żony, choć to leżało w jego zamiarach, nie mógł jednak powstrzymać się od gwałtownego wybuchu. Opamiętawszy się, udawał, że sprzyja rodzącemu się uczuciu, zapraszał sir Henryka do Merripit-House, w nadziei, że wcześniej czy później nadarzy się sposobność wciągnięcia go w zasadzkę.



ZWALISKA ZAMKU W DOBCZYCACH.

Nagle w dniu oznaczonym na zamach, żona oświadczyła się przeciwko niemu. Do uszu jej doszła wieść o nagłej śmierci zbiegłego więźnia na moczarach, a że wiedziała, iż pies trzymany jest tam na uwięzi, domyśliła się, jaką śmierć Stapleton gotuje sir Henrykowi, tembardziej, gdy mąż przyprowadził psa i zamknął go w oficynie.

Owego wieczora, przed przybyciem sir Henryka na obiad, wśród małżonków wynikła sprzeczka. Beryl nazwała męża zbrodniarzem; rozwścieczony, chcąc ją dotknąć boleśnie, oznajmił jej, że kocha inną.

To brutalne wyznanie zerwało ostatnie pęta, łączące ją z nędznikiem, i wznieciło w jej sercu nienawiść i pragnienie zemsty.

On spostrzegł tę zmianę, i obawiając się, aby go nie zdradziła, uwiązał ją do słupa i zamknął

na klucz. Pewien był, że po dokonanej zbrodni, gdy cała okolica przypisywać będzie śmierć sir Henryka przekleństwu, ciążącemu na jego rodzinie, on, Stapleton, zręcznem kłamstwem i pochlebstwem zdoła odzyskać uczucie swej żony, skłonić ją do milczenia i do przyjęcia faktów dokonanych.

Na tem polu spotkałby go zawód niewątpliwy. Kobieta, w której żyłach płynie krew hiszpańska, nie zapomina podobnej urazy.

Oto i wszystko, co wiem o tej ciekawej sprawie. Jedno tylko pozostaje do wyjaśnienia: w jaki sposób Stapleton, doszedłszy do sukcesji, byłby wyjaśnił, dlaczego tak długo zamieszkiwał w pobliżu Baskerville-Hall pod przybranem nazwiskiem? W jaki sposób byłby się upomniał o spadek, bez zwrócenia podejrzeń?

Pani Stapleton zeznaje, iż jej mąż miał w tym względzie kilka projektów: albo upomnieć się o sukcesję z Ameryki południowej i tam dowieść swej tożsamości i uzyskać fortunę, nie przyjeżdżając do Anglji; albo dostarczyć jakiemu wspólnikowi potrzebnych legitymacyj, i za jego pośrednictwem spadek otrzymać; albo prowadzić sam sprawę na miejscu, lecz pod inną postacią zewnętrzną, w takiem przebraniu, żeby nikt poznać go nie mógł. Znając go, jestem pewien, że wybrnąłby z tych trudności.

A teraz, mój drogi, dość już o tej sprawie. Kosztowała nas niemało trudu. Zasłużyliśmy na rozrywkę. Dziś dają „Hugonotów". Wziąłem lożę. Czyś słyszał kiedy Reszków? Ubierzemy się zaraz i przed widowiskiem pojedziemy na obiad do pierwszorzędnej restauracji. Dobrze?...

NASZE PTAKI WĘDROWNE.

Chociaż jednak przylatują do nas tak wcześnie, mała ich liczba pozostaje na ląg, większość dąży wprost na północ, zapadając na nasze błota i łąki tylko dla wypoczynku.

Nie wszystkie zresztą bociany zjawiają się jednego dnia: najpierw nadciąga nieliczna straż przednia, złożona z małej liczby starych samców, a w kilka dni później przylatuje główna armja, która two-



ZWALISKA ZAMKU W DOBCZYCACH.

Bociany zjawiają się u nas później od żórawi, ale za to z dziwną regularnością schodząc się przytem prawie co dnia, z początkiem wiosny kalendarzowej: we wczesne wiosny przylatują one 19 lub 20 marca, w opóźnieniu 25-go, a więc zaledwie o tydzień później. Również mniej więcej o tydzień różnią się terminy przelotów tego ptaka do południowych i północnych części naszego kraju.

rzy kilka korpusów. Każdy z nich ciągnie osobno i każdy liczy po kilkaset, a nawet po kilka tysięcy ptaków Bociany lecą bardzo wysoko, nieraz w wysokości, niedosięgłej dla oka, a mimo to każda para poznaje ojczystą okolicę i, przelatując nad nią, odłącza się od towarzyszów i spuszcza się na strzechę rodzinną, na której gnieździła się poprzednio. W ten sposób w miarę po-

suwania się na północ, korpusy bocianów maleją coraz bardziej.

Prawie jednocześnie ze zwykłym białym bocianem przylatuje i czarny, mniej liczny i mniej znany od niego, należący wogóle do ptaków bardziej rzadkich.

Zaraz po bocianach albo nieco później w pierwszych dniach kwietnia przylatuje czapla siwa (Ardea cinerea), najpospolitsza z naszych czapli. Inne gatunki tego ptaka zjawiają się u nas dorywczo wcześniej lub później i nie nazbyt licznie i dla tego nie będziemy się tutaj zajmować wcale ich przylotami.

Wspomnimy tylko o znanym z donośnego głosu bąku (Botaurus stellaris). Przylatuje on mniej więcej równocześnie z czaplą, a chociaż należy do ptaków, ukrywających się w gąszczach tak samo, jak i ona, daje jednakże znać o swej obecności zaraz po przybyciu niezwykle donośnym głosem. Urządza on mianowicie co noc koncerty, hucząc przeraźliwym głosem, przypominającym ryk krowy, a rozlegającym się tak donośnie, iż słychać go o pół mili i więcej. Sam bąk nie jest zbyt wielkim ptakiem, ma on zaledwie dwie trzecie wzrostu bociana. Słusznie więc dziwić się można sile jego głosu, tem większe robiącego wrażenie, że rozlega się wśród nocnej ciszy.

Również w drugiej połowie marca, a czasami i wcześniej, skoro tylko śniegi zginą już na dobre, zjawiają się pierwsze słomki, te najwcześniejsze z naszych bekasów, i zaraz po przybyciu zaczynają ciągi, które polegają na tem, iż każdego wieczora po zachodzie słońca i rano o świcie gromadki słomek przelatują powoli ponad lasem w różnych kierunkach, wydając charakterystyczne odgłosy, które Mickiewicz nazwał szeptem („w wieczór słychać szept ciągnącej słomki"), a które myśliwi słuszniej zowią chrapaniem, głos ten bowiem istotnie przypomina chrapanie, przerywane co jakiś czas cienkiem, przejmującem gwizdaniem. Ciągi te trwają jeszcze w kwietniu, a ze względu na przybycie większej ilości słomek, przybierają jeszcze szersze rozmiary: „ciągnie, jak słomka w kwietniu", powiada przysłowie.

W końcu miesiąca zaczynają nadciągać długonogie i długodziobe kuligi (Numenius); pstre kurki wodne (Ortygometra porzana) i ciemno-popielate łyski (Fulica atra) z białą łysiną na czole. Część ich zostaje u nas na lęgi, część leci dalej na północ. Ukazują się oryginalne perkozy (Podiceps) z rdzawym odstającym kołnierzem na szyi i dwoma czarniawemi czubami na głowie; zwiększają się liczebnie i gatunkowo stada różnych gęsi i kaczek: pospolite krzyżówki, o ile nadleciały wcześniej, siedzą już na jajach, z południa nadciągają cyranki i cyraneczki.

Kwiecień posuwa ogromnie naprzód sprawę budzenia się przyrody na wiosnę: coraz więcej kwiatów błyszczy na łąkach, coraz jaśniej — weselej na świecie i coraz więcej ptaków zjawia się u nas. Kwiecień jest miesiącem najobfitszych i najliczniejszych ciągów z południa: wszystkie ptaki, które w marcu obawiały się jeszcze wrócić, nadlatują teraz jak najspieszniej, zarówno te, których straże przednie zjawiły się już w marcu (zięby, pliszki siwe, drozdy, kosy, rudziki i inne), jak i te, które dotychczas zupełnie jeszcze powstrzymywały się z przylotem. Widać przytem wyraźne zwiększenie się ilości gatunków, często owadożernych.

Drzewa i krzewy okrywają się coraz bujniej liśćmi, coraz zatem więcej kryjówek przybywa dla skrzydlatych śpiewaków. Po lasach i sadach można już zobaczyć od pierwszych dni kwietnia bliską krewniaczkę rudzika pliszkę (Ruticilla phoenicurus), bardziej wysmukłą, z rdzawym brzuszkiem i rdzawym ogonkiem. W zaroślach rozlega się miły śpiew ładnego podróżniczka z błękitną piersią (Cyanenecula leucocyana). Najlepszy to czas do obserwowania tego ptaszka, jednego z bardziej ozdobnych u nas, bo później, gdy krzewy gęściej okryją się liściem, nie tak łatwo będzie go dostrzec. I najlepsza to również pora do słuchania jego nadzwyczaj czystego i melodyjnego śpiewu: za miesiąc będzie już stamtąd dochodził głos słowika i podróżniczka nie zechce nikt słuchać. Przez cały kwiecień nalatują do ogrodów, lasów, gajów i zarośli różne gajówki (Sylvinae), jak zaganiacz, świstunka, piecuszek, wójcik i wszystkie gatunki poknewek (Curruca): jedne wcześniej w pierwszych dniach kwietnia, inne później w połowie, jeszcze inne przy końcu tego miesiąca, zależnie od zwyczajów i potrzeb swoich i od postępów, jakie robi wiosna. Wszystkie te ptaki są wyłącznie owadożerne i dlatego marzec nie mógłby im dostarczyć właściwego pokarmu w należytej ilości.

W kwietniu również przylatuje ortolan, krewniak trznadla, podobny doń z postaci, obyczajów i pokarmu, ale znacznie delikatniejszy, bo, gdy tamten zimuje, on czeka drugiej połowy kwietnia, zanim zjawi się u nas. Nie jest to ptak właściwie leśny, bo chociaż gnieździ się w ogrodach i zaroślach, trzyma się jednak zawsze sąsiedztwa pól i łąk, gdzie go nęcą różne chwasty, których nasiona je równie chętnie, jak i owady. Ze względu na rodzaj pokarmu mógłby on zimować u nas nie gorzej od trznadla, jest jednak widocznie bardziej delikatny.

Zato zupełnie leśnym ptakiem jest krętogłów (Yunx torquilla) jedyny przelotny gatunek w rodzinie naszych dzięciołów, a tę jego niezdolność do zimowania nietrudno wytłómaczyć rodzajem pokarmu; krętogłów niema tak mocnego dzioba, jak właściwe dzięcioły i nie umie wydobywać owadów z pod kory, jak one; zjada on jedynie te, które nie chowają się tak głęboko, najchętniej zaś żywi się mrówkami. Nic więc dziwnego, iż w zimie groziłaby mu śmierć z głodu i że nie może zbytnio przyspieszyć powrotu swego. Przylatuje dopiero koło połowy kwietnia (między 10 a 28).

Różne muchołówki muszą również czekać drugiej połowy kwietnia, bo, żywiąc się przeważnie owadami, które łowią w locie, mogą znaleźć do-

stateczną ilość pokarmu dopiero wtedy, kiedy dni są już dość ciepłe, a tem samem i więcej owadów uwija się w powietrzu.

W jeszcze gorszem położeniu co do pokarmu znajdują się jaskółki; łapią one owady wyłącznie w locie i przytem głównie drobne, potrzebują więc znacznej ich ilości, żeby nie zginąć z głodu. Muchołówka w razie słoty umie zbierać owady na gałęziach i korze drzew, jaskółka nie potrafi tego wcale, potrzebuje ona koniecznie do życia ciepła i pogody, a kilkodniowy deszcz nawet w lecie przepłaca nieraz życiem. Nic więc dziwnego, że nie może ona przylatywać do nas zbyt wcześnie i że ukazanie się tego ptaka stanowi wyraźny dowód, iż wiosna posunęła się już znacznie naprzód. Gdy o bocianie przysłowie powiada: „bocian jest, wiosny wiest" t. j. dopiero zapowiedź wiosny, o jaskółkach mówimy: „jedna jaskółka wiosny (lub lata) nie stanowi", co wskazuje na to, że z większej ich ilości możemy już wnioskować o ustaleniu się ciepła.

Pierwsze jaskółki, a mianowicie dymówki, przylatują nieraz koło 10 kwietnia, nie zawsze jednak wychodzą na tem dobrze. Niewybredne szpaki i skowronki drwią już sobie wówczas z niestałości kwietniowej pogody, ale dla delikatnych jaskółek termin jeszcze bardzo wczesny i giną one nieraz, jeżeli pogoda się zepsuje. Większa ilość dymówek nadlatuje dopiero w drugiej połowie kwietnia i przed majem wszystkie są już na miejscu.

Dwa drugie gatunki naszych jaskółek — oknówka i grzebułka — są wybredniejsze i delikatniejsze od dymówki i zaczynają przylatywać później, koło 20 kwietnia, a kończą swe przyloty zwykle dopiero w pierwszych dniach maja, zwłaszcza jeżeli kwiecień nie był należycie ciepły.

Mniej więcej jednocześnie z jaskółkami przylatuje tajemniczy, szary lelek, którego głuchy mruczący głos, podobny do skrzypienia żórawia u studni, słyszeć już można wieczorami w drugiej połowie kwietnia. Lelek karmi się wyłącznie nocnemi owadami, które łapie w locie tak samo, jak jaskółki i dla tego to głos jego jest już znakiem zaczęcia się cieplejszych wieczorów, nocnych owadów bowiem niema jeszcze wcale, dopóki wieczór się nie ocieplił.

Wśród ptaków, zamieszkujących otwarte przestrzenie, jak łąki, pola, pastwiska albo przynajmniej szukających na nich żeru, widać również zwiększony ruch w kwietniu. W tym miesiącu przylatuje reszta świergotków (Anthus), bardziej wybrednych od łąkowego i dla tego nadciągających później; zjawiają się różne poklęskwy (Saxicolinae), jak białożytka, kląskawka i pokląskwa zwyczajna; ukazuje się pliszka żółta, wytrwała towarzyszka stad, pasących się na łąkach i ugorach i wreszcie czubaty dudek, który przebywa wprawdzie często w ogrodach, nie mniej chętnie jednak odwiedza łąki i pastwiska. Wszystkie te ptaki zjawiają się mniej więcej koło połowy kwietnia, wcześniej lub później, zależnie od stanu wiosny.

Ku końcowi tego miesiąca przylatuje oryginalny ptak, bo z budowy zaliczany do drapieżnych, z pokarmu zaś zasługujący raczej na nazwę owadożernego. Jest to pszczołojad (Pernis apivorus), ptak wielkości mniej więcej jastrzębia. Ulubiony jego pokarm stanowią owady pszczołowate, trzmiele, różne gatunki pszczół i t. p. Jada on także koniki polne, świerszcze, i inne duże owady, oraz gąsienice, a także drobne kręgowce, w każdym jednak razie owady, zwłaszcza pszczołowate stanowią główny jego pokarm i w tem leży zapewne przyczyna tak późnego jego przylotu, musi on bowiem doczekać się, żeby towarzyskie gatunki tych owadów poukładały gniazda i miały już larwy.

Słowem, na polach, łąkach i w lasach zwiększa się olbrzymia ilość ptaków przelotnych przez kwiecień. To samo dzieje się na wodach i błotach, dokąd nadlatują coraz liczniej nie tylko ptaki brodzące i pływające, ale także i śpiewające.

Od końca kwietnia zaczyna się rozlegać w trzcinach i łozach, porastających brzegi wód, dziwaczny, skrzeczący, a jednak nie pozbawiony pewnej melodji głos trzciniczka (Calamoherpe turdoides), który lud oddaje wcale trafnie wyrazami: „rybaryba, rak-rak-rak, świędzi-świędzi, drap-drap-drap, boli-boli, cierp-cierp-cierp". Wraz z nim przylatują także i inne trzcionki (Calomodytinae), śpiewające mniej lub więcej chrapliwie, ale znacznie czyściej, niektóre nawet zupełnie ładnie.

Nad wodą unoszą się z krzykiem rybołówki czyli rybitwy, upatrując drobnych rybek lub wodnych owadów. I one przylatują również dopiero w końcu tego miesiąca, czasami nawet w pierwszych dniach maja.

Zato w początku miesiąca spieszą z powrotem spóźnione czaple, bąki, kurki wodne i łyski, które nie zdążyły jeszcze przylecieć w marcu, a obok nich zjawiają się i nowi goście: oliwkowa kokoszka wodna (Gallinula chloropus) z czerwonem czołem i zielonemi nogami; różne kulony (Oedicnemidae), siewki (Charadriinae), brodźce (Totaninae) i biegusy (Tringinae), wśród których szczególnie zasługuje na uwagę bataljon czyli bojownik (Machetes pugnax) tem, iż w maju w epoce godowej samcom jego wyrastają ozdobne pióra, tworzące obszerną tarczę na przedniej stronie szyi i rodzaj kapturka na głowie. W kwietniu również, gdy słomka oddaje się w najlepsze swym ciągom nad lasami, nadlatuje reszta bekasów: kszyki, bekasy większe czyli dubelty i małe czyli ficlauzy.

LEON XIII.

Odę tę z okazji 25-letniego Jubileuszu pontyfikatu Jego Świątobliwości, wedle wzoru podanego, przez Horacego w jego *„Carmen Soeculare“*, na cześć Augusta, wierszem polskim ułożył i na parafialnym zebraniu wieczornem w plebanii w N. nad Wołgą, w dniu 7/20 Lutego 1903 r. odczytał niżej podpisany.

Z siedmiu pagorków Jowiszowe gromy
Niosły się niegdyś nad ludy kornemi,
Dziś słowa prawdy płyną z świętej Romy
Po całej ziemi.
Z piersi wilczycy przemoc cezarowa
Jad swój zatruty nad Tybrem wyssała;
O Krwi Baranka tam się dzisiaj chowa,
Zapowiedź cała.
Na Kapitolu już nie rządzi cnota
Katonów, Brutów..., siedem wieków chwały
Czelny cezaryzm strącił w bezdno błota
Z Tarpejskiej skały.
Romulusowa chwieje się potęga.
Padną bożyszcza, Tybery, Nerony,
Przybysz z Judei już z Katakumb sięga
Po tron skruszony.
Siadł na stolicy rybak z Galilei,
Dla dusz połowiu rozstawia swe sieci,
I wśród grzeszników skruchy i nadziei
Płomienie nieci.
Gdy burza miota kołataną nawą,
Kościoła niemal w zarodku nie zetrze,
Mistrz rzeknie w drodze zdjętemu obawą:
„Quo vadis“ Pietrze?
Wrócił — i odtąd dwadzieścia stuleci,
Rząd nieprzerwany widziało Papieży,
Ich też prawnuki ujrzą nasze dzieci
W to każdy wierzy.
Bo Chrystus orzekł: — „W apostołów rzędzie
„Moim Zastępcą wybrałem Ja Ciebie,
„Co Ty rozwiążesz, rozwiązanem będzie,
„Zarówno w niebie.
„Na tej Opoce Kościół mój założę
„Niech klucze nieba dzierży dłoń twa drżąca,
„A moc piekielna nigdy Cię nie zmoże
„Do wieków końca!
I słowo Boże w czyn się zamieniło,
Czy falą rwana, czy męczeństwem krwawa
Urąga wichrom i mknie z nową siłą
Piotrowa nawa.
Zmienia się Sternik, a na fali grzbiecie
Płynie łódź święta, omija urwiska
Choć bałwan wściekły po całym dziś świecie
Ciągle się ciska.
Patrzcie — chrześcianie — ot pątników rzesza
Dąży do Rzymu w pobożnym zapale,
I wieków wiary, podania znów wskrzesza
Ku Boga chwale.
Spieszą Papieża uczcić srebrne gody,
Z rzymską stolicą, i hołd złożyć Jemu,
Dań świętopietrza niosą wsze narody,
Ojcu świętemu.

Nad wiecznem miastem góruje wspaniała,
Kopuła Piotra i w niebios błękity,
Pnie się jakgdyby wzwyż prześcignąć chciała,
Apenin szczyty.
Z *Maria Maggiore*, z wierzyc Lateranu,
Z Bazylik wszystkich biją srebrne dzwony,
U Krzyża klęczy Więzień Watykanu,
Wiekiem schylony.
Niebiańska postać — do aniołów grona
Niby uleci wzrok jego przejrzysty,
I szata biała i twarz namaszczona,
Jak gołąb czysty.
I w głąb świątyni niosą go na tronie,
Zewsząd otacza fala ludu żywa
Tłumy wołają wyciągając dłonie
— *Papa eviva!“*
Skroń zdobna w tiarę ponad tłumy strzela,
Westchnął i skinął ręką. — Błogosławię
Urbi et Orbi w Imię Zbawiciela,
Redemptor ave!
Następco Piusów, Sykstusów, Grzegorzy,
Z ust Twych natchnionych duch mądrości wionie
Świat katolicki przed Tobą się korzy
Wielki Leonie!
Czczą Cię i wielbią ludy i mocarze,
Nawet wrogowie hołd uznania ścielą,
Widząc, że błysnął na ziemi obszarze,
Lumen de coelo.
Troista tiara, to symbol Kościoła
We trzech dziedzinach nieba, czyśca, ziemi,
Masz bowiem z mocy Chryzmu twego czoła,
Władzę nad niemi.
Co może cnota, Tyś pokazał światu,
Zbrojny w powagę i spokojem silny,
Godząc naukę z wymogą dogmatu
I nieomylny.
A mimo napaść niedowiarstwa podłą
Mimo bluźnierstwa, którem piekło bucha,
Wskazujesz w górze uciśnionym godło
Wolności ducha.
Więc beczki, bracia, wytoczmy z piwnicy
Lacrimam Christi lejmy w złote czary
Czas w dni radosne dzisiejszy zaliczy
To tryumf Wiary.
Wiwat nasz Papież! niech w Rzymie króluje,
Nam go w spuściźnie dał wiek dziewietnasty
Niechaj w dwudziestym szczęśliwie panuje
Leon trzynasty.

Sodalis Marianus.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. Druk W. Korneckiego w Krakowie.